Lwów, 19. Stycznia. №8. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. — półroczna **3** Złr. — kwartalna **1** Złr. **30** kr. — miesięczna **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. półrocznie **4** Złr. — kwartalnie **2** Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następne po $1\frac{1}{2}$ kr. i za dopłatą **10** kr. stęplowego.
Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha* przy placu dykasteryalnym pod l. 41.

DWAJ BLIŹNIĘTA.

II.

Dwadzieścia lat później.

(Ciąg dalszy.)

I jeszcze się wypytywał Mykita, zaklinał, rozczulał się, płakał nawet, ściskał i całował brata. I czarny Iwan szczerze odściskał i odcałował brata, i zaprzeczył wszystkiemu. I dla większego uspokojenia prosił go ledwie nie całując brata po rękach, by mu prawdę słów swych zaprzysiągł na pamięć ojca i matki, na zbawienie, na krzyż święty.

Może się wahał chwilę czarny Iwan, ale przysiągł na pamięć ojca i matki, na zbawienie. I dobył z zanadrza śliczny jakiś szczerozłoty krzyżyk, fioletową barwą kamieni weń wsadzonych świecący, i na ten krzyż przysiągł uroczyście.

— Dziecko jesteś małe, rzekł do brata! Ale i ty przyjdziesz kiedyś do rozumu, jak ja przyszedłem. Chciałeś bracie żebym przysiągł, przysiągłem, czy już jesteś spokojny.

— Jestem już spokojny! odpowiedział Mykita.

A przecie nieprawdę powiedział, bo choć sam w siebie wmawiał, że już spokojny, coś go tam przecie piekło i bodło w głębi piersi. (Bo zazdrość i niewiara jak się raz wkradną, to gorzej od rdzy, jakby te plamy krwi przez zbrodnią wylanej, które żadną wodą zmyć się nie dadzą, i przez wieki zostają przylgnięte do miejsca zbrodni, wymowne i straszne jej świadki.

I przespał się i cały dzień chodzili po lasach i górach, i przegadali, co tylko przegadać mogli. A Mykita coraz więcej przywiązywał się do brata, któremu mimowoli w swej prostej szczerości przypisywał większą nad sobą wyższość; a przecie coś go ciągle piekło i bodło w głębi piersi. (Bo zazdrość i niewiara jak się raz zagnieżdżą, to jakby rak, którego im się dalej i głębiej wycina, tem on dalej i głębiej wpuszcza swe zgniliznę rodzące korzenie, dopokąd nie przeżre na wskróś, i jednego kawałka zdrowego ciała nie zostawi. I w środku poufnej i wesołej nieraz rozmowy aż ściśnie Mykitę za serce, jakby to przeczucie niepewne, na niczem nie oparte, a przecie przeczucie — złego!...

Nazajutrz już miało się ku wieczorowi, zniżało się ku zachodowi słońce, gdy Mykita zaczął zbierać się do powrotu, tłumacząc bratu, że przyrzekł panu wrócić zrana jeszcze. Czarny Iwan zatrzymywał go cały dzień, ale przed wieczorem przestał, i sam nawet zrobił uwagę, by pospieszył, aby wrócił do domu przed burzą. I prawda że od zachodu wisiała niewielka, ale co chwila czarniejsza, co chwila bliższa zda się chmura, a tak ścisnięta w swym zimnym kłębie, że ją nawet promienie słońca zachodzącego rozświecić nie zdołały. Pożegnali się nareszcie bracia i rozeszli.

Im się więcej Mykita oddalał od koczowiska opryszków, tem myśli jego stawały się cięższe, ciemniejsze, smutniejsze, jakby owa chmura na niebie. Duszno było w powietrzu i jemu było duszno. Darmo przywodził sobie na pamięć wszystkie brata słowa, darmo przypomniał sobie namiętne przysięgi Małanki, przyczem zdało mu się głos jej słyszeć — darmo. Huk grzmotów, który się coraz głośniej rozlegał w przyrodzie, głos jakiś wewnętrzny zagłuszał wszystko, zwiastując mu jakieś nieszczęście.

Zbliżenie się burzy w przyrodzie było widoczne. Chmura niedawno tak mała, stawała się coraz większą i coraz ciemniejszą. Słońce znikło w niej jakby w ciemnej otchłani, nie zostawiwszy za sobą ani jednego promyka światłego. Nie było jeszcze nocy, a było już ciemno. Grzmoty były jeszcze dalekie, ale straszniejsze o tyle, o ile jest straszniejsza zawsze niepewność od rzeczywistości, groźba złego, od samego złego. Słychać tylko było ten hurkot, który w łonie chmury schowany, przestrasza nietylko burzą, ale niszczącym gradem. Nasz Mykita, gdy stanął w końcu świerkowego lasu zatrzymał się długą chwilę, mimo że już łyskawice coraz częstsze zwiastowały rozpoczęcie burzy, a krople deszczu jak groch wielkie padały na niego. Tu się rozchodziły dwie drogi, jedna bliższa do dworu, a druga dalsza o wiele, do końca wsi — do chaty Małanczynej. I nadaremnie chciał się przemódz, i zrobił kilka kroków na ścieżce do dworu wiodącej; silniejsza jakaś władza ciągnęła go na drugą drogę. Przesądnemu góralowi wydało się to jakiemś wyższem zrządzeniem, i mimo że już prawie zupełnie wierzył w zapowiedzianą mu niebytność Małanki, i w jej miłość, i w jej wierność, i w błahość swoich wczorajszych przewidzeń; w tej chwili wszystko się nagle zmieniło w jego myśli, i byłby przysiągł na prawdę swoich posądzeń. I nie zważając na wściekłą burzę, która wzmagała się co chwila, popędzał gnany dwoma burzami; przyrody i własnej myśli.

Kto sam nie widział burzy w wyższej części podgórza karpackiego, nie może mieć najmniejszego wyobrażenia, o tej wściekłej walce do której występują i niebo i ziemia, miotając ku sobie wzajemnemi zda się piorunami, i lasy, skały wyrywane, łamane i rzucane z siłą niesłychaną. Huk grzmotów i piorunów na dolinach, to cicha symfonia naprzeciw olbrzymiej orkiestry w czasie burzy między górami. I wszystkie długie gardła gór przepaściste i wszystkie parowy, i wszystkie przepaście wiatrem wściekłym nawidzone, innym odzywają się głosem; prawdziwe organy godne tej szatańskiej muzyki. A głosy te wszystkie nie milkną, nie ustają na chwilę, bo od gór górom podane, stokroć się łamią, odbijają i potęgują. Trzeba być silnym szaleńcem lub z rozpaczonym człowiekiem, aby w taką porę puszczać się w środek takich żywiołów burzy. I ani na chwilę nie ustał. Nie jeden prąd burzy, pod którym odwieczne trzeszczały drzewa, przebił w pół obnażoną piersią. Niezważając na mnogie załamy skał nad przepaściami wiszące, po których ciasnym rąbku już go nie pamięć ale zwierzęcy prawie wiódł instynkt, biegł naprzód, i nie odpoczął, aż chwilową ciemnością otoczony, głową prawie uderzył o ściany chaty Małanczynej. Najzapaleńszy romantyk, młokos po uszy i po raz pierwszy zakochany, nie wytrzymał by tego, co nasz prosty góral wytrzymał. Oba Abelardy i inni ich potomkowie uciekli by dawno, lub skryli w myszą dziurę, zapomniawszy o wszystkich Heloizach, a Werterowi, gdyby Göthe był zaaplikował podobny dusz piorunowy i deszczowy, ręczę że miasto zabicia, byłby go wyleczył z namiętności srogiej. Ale Mykita był silnej natury i niezłomnego postanowienia.

I po cichu obszedł całą chatę, i było w niej cicho, ciemno, a wszystko było pozamykane, jak to zwykle Małanka przy wychodzie z chaty robiła. Ani też próbował wejść. I nie wrócił nazad; stanął o kilka kroków od chaty niczem przed ulewą niezasłoniony, i postanowił czekać. Dla czego? sam nie wiedział. Ale to coś niewymowne, co mu tu przybyć kazało, przykuło go teraz do miejsca. Stanął zmęczony; ulewa zmywała mu pot z czoła. mijały godziny, burza nieustawała, a on czekał nieruchomy. Łyskawice, które czasem jak w dzień oświecały całą okolicę, przywiodły mu na pamięć, że zasiadając na drugich, może być sam postrzeżony; rzucił się więc na ziemię, w wodę, w błoto, i wytężył oko i ucho. I w tej chwili mimo huku, zdało mu się, że zasłyszał jakiś chód, cicho i ostrożnie klapiący po rozlanej wodzie. A w tej chwili uderzył piorun o kroków kilkanaście; mimowolnie przeżegnał się, a hukiem odurzony, blaskiem olśniony, nie mógł sobie zdać sprawy, byłalito prawda czy złudzenie, że na tle nieba łyskawicą roztworzonego, przemknęło coś, jakby cień jaki. Zaparł duchy w sobie, lecz nadaremnie, nic nie usłyszał, nic nie zobaczył więcej.

Przyczołgał się do drzwi chaty, obmacał wszystkie jej ściany, ucho i oko przymknął do każdej znajomej szpary; cicho było i ciemno. A więc wrócił znowu na dawne legowisko. I rzecz trudna do uwierzenia, gdyby wytrwałość góralska zpotęgowana namiętnością nie była doskonale znaną. Burza się wprawdzie usunęła, coraz dalszemi odzywając się przegrywkami. Deszcz ciągły rzadki jest w górach, ale gdy się zdarzy, to nie krople, nie potoki, nie kaskady, ale rzeki deszczowe padają. On się chciał doczekać, albo powrotu Małanki od kumy, albo dnia, by się zupełnie przekonać o prawdzie czy fałszu swych posądzeń. I znużony nie zadrzymał na chwilę, a choć marzył, to o tem, to o owem, to myśli jego marzyły, zmysły były czujne , przygotowane i natężone. I takich znowu kilka godzin minęło. Już było po północy, gdy znowu zdało mu się usłyszeć szelest jakiś, ale tak lekki, jakby przemknięcie gadu. Podniósł się w pół, i bezmyślnie podniósł swój toporek. Ciemność była okropna, a przecież między jego okiem a ciemnością, zdało mu się widzieć jak się coś jeszcze ciemniejszego przesuwa. Machnął toporkiem, i toporek nie przeciął tym razem powietrza, ale uderzył o jakiś przedmiot, który go zatrzymał w zamachu. Zerwał się Mykita ze zgrabnością górala, i ze zwinnością tygrysa, rzucił się przed siebie, i wyciągniętą ręką, porwał za jakiś przedmiot twardszy i palcami jak szponami tęgo wpił się w to co porwał. Lecz w tej chwili uderzony w piersi, ale tak silnie, że mu oddechu zabrakło, upadł na ziemię jak długi. I czas jakiś minęło, za nim się mógł podnieść, i ani pojąć mógł co się z nim stało. Zadziwienie jego było tem większe, że tylko jedną znał pięść podobnie mocną, a tą była jego własna pięść.

Jedno krótkie oka mgnienie wystarczyło mu, by zrozumieć, że pogoń za tym człowiekiem czy szatanem byłaby nadaremną; zwrócił się zatem znowu do chaty, i wzrok wytężył bystry a przez lekką szczelinę u drzwi postrzegł migające światełko. Drzwi tym razem były tylko przyparte. Otworzył je z cicha, i milczkiem skradając się szedł za światełkiem, które biło od komory na drugiej stronie chaty, niemającej okien żadnych. I te drzwi przymknięte tylko, udało mu się otworzyć cichaczem, i wszedł do komory. W samym onej kącie stał wielki drewniany kufer pstremi obazgrany barwami. Nad tym kufrem otwartym stała Małanka w koszuli tylko — I dziwna rzecz! wydała mu się teraz piękniejszą niż kiedykolwiek — stała z palącą się skałką w ręku, i zdawała się wpatrywać z nadzwyczajną uwagą w jakiś przedmiot, który w drugim trzymała ręku.

— Kto tu był? — wrzasnął jej nad uchem nieludzkim głosem, i zębami zazgrzytał ze złości i dreszczu.

Biedna Malanka nawet odkrzyczeć nie potrafiła; przerażona, zparaliżowana strachem, upuściła palącą się skałkę, i ten który trzymała przedmiot.

Za nim skałka zdołała zgasnąć, już ją miał Mykita w ręku, a w drugim trzymał... i zatrząsł się cały.

To był ów krzyżyk szczerozłoty, fioletową barwą osadzonych w nim kamieni świecący, który przed kilką godzinami wisiał na szyi jego brata, jego bliźniaka, który mu przysiągł na tym samym krzyżu, na pamięć ojca i matki, i na własne zbawienie, że nie zna Małanki i nigdy u niej nie był.

— Więc to on tu był! — krzyknął z wyrazem więcej bolesnym niżeli gniewnym. I patrzał w świecący krzyżyk, niemy i nieruchomy.

Małanka przez ten czas o tyle się tylko opamiętała, iż pojęła straszne i niebezpieczne położenie swoje. A może nawet w tej chwili skoro wyszedł od niej inny, więcej znowu kochała Mykitę niż kiedy, kochała nad życie. I klęknęła przed nim, i upadła mu do nóg, i całowała je, a przemagający w niej strach wytrącił jej z ust to jej myśli najwewnętrzniejsze wykrzyknienie.

— Mykito nie zabijaj mnie!

Mykita nic nie odpowiedział, przez chwilę jak żywy zadrgał mu toporek w dłoni, ale wnet jakby się chciał obronić od pokusy, odrzucił toporek daleko od siebie, a nogą odtrąciwszy Małankę od siebie zagadł do niej głosem przytłumionym choć gwałtownym, jak ta burza która tam niżej huczała jeszcze ponad dolinami:

— Idź precz odemnie!...

Małanka widząc że już pierwsze niebezpieczeństwo minęło, jak prawdziwa kobieta, z tą elastycznością uczuć, kobietom właściwą, zaczęła płakać, narzekać i zawodzić. I chciała z początku wykłamać się, ale Mykita pokazał jej krzyżyk, mówiąc:

— Ja znam te piersi, na których dziś jeszcze wisiał ten krzyż... znam te piersi!...

Widząc że się kłamstwo nie udaje, wzięła się do szczerości, ale wzięła się jak zwykle w pierwszej chwili — nieszczerze. I z wielką zwinnością języka, zaczęła przysięgać się, że to jakieś czary, jakieś czarowne zamówienie być musiało, którego ona sama nie rozumie; że to musiał być sam szatan z piekła, który ją otumanił, i jako najważniejszy tego dowód składała tę okropną burzę, jakiej ludzie niepamiętają, w czasie której on suchy zupełnie przyszedł do niej. Ale Mykita zbił jej gadanie szczególnie trafną logiką; wskazał jej bowiem ów krzyż, i powiedział szyderczo:

— Djabeł nie nosi krzyżyków na sobie...

Kusa była rada dla Małanki; więc się wzięła do szczerej szczerości, i im więcej mówiła, tem więcej się zapalała, a tak silnie żałowała swego przewinienia, że rozczulając się nad sobą samą, ledwie by nie przysięgła że jest niewinna. I wśród tego opowiedziała Mykicie, że gdy chodziła do drugiej wsi na odpust przed parę tygodniami, tam zdybała tego niegodziwego człowieka, który jej mówił że jest z innej zupełnie okolicy, i dodała:

— A twoja to nawet wina Mykito! bom cię prosiła byś poszedł ze mną na odpust a ty niechciałeś.

Opowiadała, jak on ją chwalił, jak on się udawał do jej próżności i złote góry obiecywał. Jak on potem przyszedł do jej chaty, i przynosił zawsze to paciorki, to korale, to jakieś medale, to wstążki, to jakieś śliczne materye niewidziane na spodnicę. I wszystko było nadaremnie. Aż na nieszczęście jak raz zobaczyła u niego ten krzyżyk, taka ją wzięła do niego pokusa, że wytrzymać nie mogła, a najwięcej dla tego, że ten obcy wmówił w nią, że kto ten krzyżyk nosi na sobie, to wzbudzi miłość, która się do śmierci nie zmieni. I zachciało się jej krzyżyka, aby ją Mykita do śmierci kochał. I znowu płakała i zawodziła a przysięgała, żeby jej tylko ten raz darował Mykita, to mu już zostanie wierną.

— Ja już niechcę być twoją żoną, bo ja sama wiem żem nie warta ciebie, ale ja chcę być twoją kochanką i sługą tylko; krzyczała coraz szczerzej.

I wyjęła z kufra te wszystkie darowane jej korale, pierścionki i spodnice i wstążki, i rzuciła przed siebie, i w coraz większy wpadając zapał, zaczęła deptać, tłuc to wszystko nogami, i drzeć i rwać na kawałki.

— Mykito! Mykito! gołąbku mój! daruj mi ten jeden raz, jeżeli chcesz żeby Ci Bóg twoje grzechy przebaczył w ostatniej godzinie.

— Idź precz odemnie! powtarzał razy kilka Mykita, a w końcu dodał: A ponieważ niewiesz kto twój kochanek nowy, ja ci powiem, to jest złodziej, rabuś, opryszek.,. Iwan czarny!...

— Boże! Boże! krzyczała Małanka zakrywając oczy, i bijąc się w piersi, w głowę...

— Bądź zdrowa kochanko opryszka... Idź tam do nich, tam będziesz miała codzień innego kochanka...

Darmo go jeszcze zatrzymać chciała, i porwała za zmoczoną gunię. Odtrącona silnie, padła na kufer, a Mykita znikł w ciemnej nocy, i pogonił prosto do dworu, schowawszy fioletowy krzyżyk w zanadrze. Uciekał on przed własną słabością, bo nigdy Małanka może tak piękną mu się nie wydała, i czuł że mimo zdrady kocha ją jeszcze. Przykładało się do tego, że jej zdrada nikła obok zdrady brata. A gdy mu ta myśl przyszła znowu do głowy, zapomniał już o Małance, i przez całą drogę, dumał i dumał, a te jego myśli przeciągały jak chmury po jego twarzy, która była dziwnie zmieniona. Zpoważniał i zestarzał się przez tych kilka godzin.

Jakie było zadziwienie Mykity, gdy zbliżywszy się do dworu, zastał jeszczè światło w oknach, chociaż już koguty we wsi trzy razy zapiały. Ledwie znajomemi sobie tylko przełazami, zgrabnie pochowanemi, przeszedł do dworu, dowiedział się że młody pan razy już kilkanaście pytał o niego. (D. c. n.)

Trzej Królowie.

Legenda spisana podług starożytnego obrazu, zachowanego w skarbcu Katedry Kolońskiej.

Na zachodzie pomrok mglisty,
Noc baldachin swój cienisty
W kir obleka uroczysty.
A na wschodzie zorza ranna
W jutrzni świtu wykąpana,
Przezroczysta i świetlana
Rozpromienia obłok wielki;
A w nim oko na pół senne,
W rannej rosy mdłe kropelki
Jak w klejnoty patrzy cenne,
Kolorowe i promienne.

Czy to pożar nocny błyszczy?
Płoną grody gdzieś stoliczne,
I z roztlałych swoich zgliszczy
Ścielą łuno niebotyczne?
Albo krater ciemnych wnętrzy
Miota płuca wulkaniczne
I pod niebo piekło piętrzy?

Słońce wschodzi z oceanu,
A te grody? a te góry?
To kobierce od rydwanu,
Tkane z złota i purpury.
A ten błękit? te szkarłaty?
Kraj bogaty jego szaty.
A te świetne złotogłowie?
Jasnej głowie na węzgłowie,
Którym sobie ściele łoże
Bez dna i bez brzegu morze.

Słońce wstało — promienisty
Wozu swego tron zasiadło,
W okół szafir niebo czysty
Jak stalowe lśni zwierzciadło.
Słońce wstało, a od słońca
Brylantowe oczko gwiazdy,
Gdzieś z drugiego niebios końca
Zabłąkane z nocnej jazdy,
Błyszczy pławiąc światło dzienne
Jaśniejące i promienne.
Skąd radością brzmi Nazaret,
W świetnych barwach mnogie sługi,
Lik bezmierny złotych karet,
W srebrnych szorach ciągną cugi,
A koń każdy jak ulany,
A rozkoszny, niby jeleń,
Ten w czerwieni ukąpany,
Ubrodzony tamten w zieleń.
I barw wszystkich widzisz dziwy
Które mienią ogon, grzywy,
Pod kulbaką w napierścieniu
Długi koncerz przy strzemieniu
Raźnie parska, żwawo człapie,
Czub się strzępi w czaple pióra,
A na biodrach rysia skóra
Albo czołdar złotem kapie.

A drab każdy jak ulany,
W krwi i mleku wykąpany,
Taki biały a kraszany.
Smukły, prosty, a udatny,
Wyrósł jeszcze pod kołpakiem.
A z kołpaku wierzch szkarłatny
Na wiatr płynie długim sakiem.
I wesoły i sierdzisty,
Istny djabeł, szatan czysty,
Taki zwinny, taki czepki,
To dlań taniec iść w załebki.
Gdy z cięciwy na majdanie
Brzęknie strzała kalinowa,
Jak do koła z dziewką stanie
To dla niego gra godowa.

Król Baltazar jechał dumny
W majestacie na kolebce,
Co ją dzikie ciągną żrebce,
A pozierał zawsze bokiem
I wciąż zerkał krzywem okiem,
A królewskim obyczajem
Płaszcz mu biodra krył książęce
Purpurowy z gronostajem.
Berło dzierżał w prawej ręce,
W lewej jabłko. Był w koronie
Co mu chmurne gniotło skronie.
Piesze draby wiodą źrebce,
Drudzy zbrojno przy kolebce,
A huf jezdny przodem jedzie
Za kolebką i po przedzie.

A król Kasper siedział w chacie
Cały w złocie i szkarłacie,
Chatę dźwigał słoń Azyjski
Gdzieś tam z puszczy Assyryjskiej;
A w tej chacie piąter cztery.
Patrzyć na nią, to dziw szczery!
A dwaj czarne pacholiki,
Przodem siedzą mu na grzbiecie,
Wiodą słonia, choć zwierz dziki
Jakby jakie dziecko trzecie.
Sam krol Kasper twarz miał czarną,
Oczywistym jakimś cudem
Gdyż ludzkości białe ziarno
Zasiał Stwórca między ludem.

A król Melchior na wielbłądzie,
Cały w kroście, cały w trądzie,
Korbacz w dłoni miasto berła;
Miasto hełmu i korony
Prosty zawój okręcony.
Żaden brylant, żadna perła
Nie upiększa szat i zbroi,
Bo jej nie miał żadnej wcale;
Bo ten który się nie boi,
Bez pancerza się ostoi.
I zwierz pod nim mało cenny
Postępuje niby senny!
A król Melchior, to król przecie
Jeden z pierwszych królów w świecie,
W domu ojciec, pan łaskawy, —
A za domem straszny, groźny,
Mirem dowiódł się do sławy
Choć dowodny wódz obożny.

Więc król Melchior wciąż spokojny,
Bo szanują go a boją.
Gdzieś z dalekich przybył krai
Gdzie ptak Hanka gniazdo czai
Na wierzchołkach Himalai,
Które sterczą wypiętrzone,
Bożym palcem nakreślone
W tajemnicze arabeski,
W nieczytelne alfabety,
A o których skalne grzbiety
Podpiera się strop niebieski.

A król Melchior jakby cudem
Nim dwaj pierwsi przyjechali,
Z wielkim dworem, mnogim ludem.
Przybył pierwszy choć z najdalej.
Wszystko naród młody, zdrowy,
Jakby jednej matki syny,
A czeladzi i drużyny
Na tysiące liczyć głowy.
Konie jezdne i pod juki
Licz na stada, nie na sztuki,
A wielbłądy licz na trzody
I patrz jeszcze w liczbach szkody.

Skąd powody? skąd przyczyny?
Monarchicznej tej gościny,
Że z dalekich gdzieś okolic
Trzej królowie wielmie sławni
I potężni i dzierzawni.
Ze swych krajów, ze swych stolic
Wraz przybyli jednocześnie,
W takiej pompie i wystawie,
Że Nazaret równej prawie
Ani kiedy prześnił we śnie,
Nie dopiero widział w jawie.

Król nad króle, Pan nad Pany
Własnem, bóstwem namazany,
Proroczemi zwieszczon słowy,
Bożym mirem oświecany,
Gość niebieski z rajskich dziedzin
Przedwiecznego syn Jehowy,
Sprawił światu dzień godowy,
Zszedł do świata dziś odwiedzin,
Skazitelne obległ ciało,
Twórczem słowem: Stań się, stało.

A. Darowski.

Wieczna tęsknota.

Gdym jeszcze był chłopięciem — wspomnieniem sieroty
Przywoływał do duszy chwile przepomniane,
Gdziem w gronie rówienników sprawiał pierwszy tany;
W rodzimy mój zakątek rwały mię tęsknoty.

Gdym młodą pierś nastrajał wśród życia ochoty
Do śpiewu, do przyjaźni — miłością owiany, —
Choć później od przyjaciół, kochanki wyśmiany,
Do przyjaciół, kochanki rwały mię tęsknoty.

Kiedym w końcu samotnik — wśród burzy i słoty —
Ach z sercem bez nadziei — rozpaczą miotany
Puścił wątłą łódź życia w morze rozigrane;
Znów do lądu te same rwały mię tęsknoty.

Tak tęsknim, wiecznie tęsknim, chociaż niema zaczem!
Każdy krok w życiu naszem tęsknotą naznaczym;
Z każdą łezką wspomnienia, z każdem serca biciem.
Bez ustanku z tej jednej tajemniczej czary
Tęsknotą los nas poi, — i cierpiem bez miary; —
A w grobie... czyliż będziem tęsknić za tem życiem?... —

B....

Deotyma.

Szanowny X. Juszyński umieścił w poczecie poetów Klemensa Herkę za to, że napisał „sześć logogryfów, obeliszek z szesnastu gatunków wiersza ułożony, akrostyk cefaliczny, wiersz w gwiazdę podwójną, antyletyk, wiersz wężykowaty i pieśń orficzną.” W obec tych zasług gdzież się podziejemy z naszą Deotymą? Czyż możemy przy tych kilku kroplach wymuszonego potu swobodnie przejść na fale tylu rozlanych myśli i uczuć, na pyszne kobierce świeżych majowych kwiatów obok zatęchłych, skamieniałych form „wiersza w gwiazdę podwójną?” Zaprawdę, postęp, ów Deotymy postęp, jest tak chyży w swoich polotach, że dziwić się musimy nad tem dzisiaj, co dopiero wczoraj nas zachwycało! Największą prawdą improwizowanego przez Deotymę „postępu” jest sama Deotyma. Oto gdy niegdyś kilka mozolnie wykutych wierszy wystarczała, aby na Parnasie zasiąść przyzwoicie, wierszy, na które już miano gotowe, scholastyczne formułki, które najczęściej od końca do początku wiersza treścią wstecz napychano, dzisiaj płyną one niewyczerpanym strumieniem z ust dziewicy, a płyną strojne myślą, połysne tu i owdzie głębszem uczuciem? Czy i to „postęp,” czy cud natury? Któż jest owa natchniona, na trójnogu królująca dziewica?

— „Byłoto w roku 1847, opowiada jeden lwowski literat, gdym w stosunkach literackich odwiedził Warszawę. Wystąpienie moje w Warszawie miało te trudności, że przy szczupłym zakresie naszych naukowych usiłowań, które najczęściej granicy Galicyi nie przechodzą, brak mnie było imienia, upoważniającego do wstępu w stowarzyszenia warszawskie.” Społeczeństwo bowiem nasze niewykształtowało się jeszcze do tego stopnia, aby każdej lepszej chęci i usiłowaniu wolno było wejść w odpowiednią sobie sferę, nietrącając się przytem o pewne tradycyjne ustawy. Wyobrażenia dzisiejszej cywilizacyi, która wielorakie społeczeństwa potęgi, jako to: urodzenie, majątek i talent mniej więcej na równi obok siebie postawiła, są u nas poniekąd jeszcze zbyt nowym pomysłem, aby w rzeczywistość mogły wejść należycie. Są zbory powinowatych jedną lub drugą własnością, kastycznie i hermetycznie zamknięte, ale społeczności niema. Wyosobnienie i odosobnienie się tych pojedyńczych społeczeństwa naszego żywiołów, sprawia pod względem życia umysłowego tę, tak słusznie zarzucaną nam martwotę naszych społeczeńskich stosunków; gdy przeciwnie zespolenie w jedno towarzyskie ognisko, różnorodnych potęg czasu naszego, utworzyłoby życie i ruch umysłowy.

Chcąc u nas zbliżyć się do jakiejbądź znakomitości, trzeba stosunków do tego nas patentujących, w nadewszy-

stkiem i najczęściej trzeba mozołu i czasu, aby gdzieś w zakątku, przy zapylonych księgach, przydybać ludzi głośnego imienia.

Takie i podobne uwagi trapiły naszego literata, chodzącego w zadumaniu po saskim ogrodzie, gdy się przed nim pojawiła postać autora „ramotek.„ Wesoły, usłużny i wylany pochwycił rękę galicyjskiego pielgrzyma, i ofiarował mu na cały wieczór swoje usługi. „Wprowadzony zostałem, mówi dalej nasz literat, na salon pani Niny,“ przy placu saskim.

Gospodyni domu przyjęła Galicyanina nader uprzejmie, pomimo, że nie przyniósł z sobą imienia, słynnego w Warszawie; a nawet memu towarzyszowi, poczciwemu Wilkońskiemu, powiedziano przytem wiele grzeczności. Wieczór ów wprawdzie wydał mnie się, śród powszechnej naszego społeczeństwa martwoty, ni to oaza śród piasków libijskich, gdzie każdy duch myślący, przy swojem przeszłem osamotnieniu, znajduje pożywny pokarm i błogie choćby chwilowe ukojenie. Takie wrażenie uczynił na mnie wieczór u pani „Niny,“ na którem w zgodnem zebraniu, ujrzałem najpierwsze naszego kraju znakomitości. Obok ludzi, stojących silnie i wyniośle przez uzyskaną sławę i usiłowania swoje, widziałem młode, dążące talenta; obok pisarzy znakomitego pióra stał młodzieniec z natchnionem okiem, którego przyszłość jeszcze w błędnej niknęła oddali; obok artysty sławy europejskiej ocierał się nieśmiało uczeń Fidyasza, którego całą dotychczasową zasługą była chęć niezłamana pracy i wykształcenią. Różne potęgi społeczeństwa miały tam swych reprezentantów — nie dziw, że mimo nawet kilku głośno wytkniętych wad, odnoszących się nieco do emancypacyi oddziału żeńskiego, zebrania te stały się dzisiaj najistotniejszą potęgą społeczeństwa warszawskiego.

Przy wstępie naszym widzieliśmy towarzystwo podzielone na kółka, w których żywo rozprawiano. Lecz wkrótce, przewagą swoich improwizacyj (rozumie się prozą) zuzurpował samowładztwo nieodżałowany autor ramotek, a towarzystwo usłyszało, pobieżnie lecz genialnie rzucony szkic przecudnej, humorystycznej powieści.

Śród tego weszła nauczycielka domu z małą, trzynastoletnią blondynką, której jasno-skliste oczy obiegły ciekawie zgromadzenie, i utonęły na mniej idealnych rysach wesołego improwizatora.

Zdawało się, ze młodociana jej dusza poi się zachwyceniem przy blasku tylu talentów, tylu zjednoczonych potęg umysłu i serca, że wsiąkała w siebie jak płyta zwierciadlana, daguereotypy rzuconych myśli i uczuć, które, zjednoczone w jej czystem, anielskiem sercu, odbrzmiały twórczością. Była to córka uprzejmej gospodyni, Jadwiga Łuszczewska, sławna dzisiaj Deotyma.

(D. c. n.)

Rozmaitość.

Odkrycie przejścia na północy, które zrobiła wyprawa angielska, dowodzona przez kapitana Mac-Clure, jest jednym z największych wypadków w historyi żeglugi i jeografii. P. John Lemoinne opowiedział owym właściwym jemu stylem, jasnym, eleganckim i malowniczym różne peripetie tego śmiałego przedsięwzięcia, uwieńczonego najpomyślniejszym skutkiem. Opowiadanie p. Lemoinne ma w sobie całe zajęcie romansu, a zajęcie to rośnie tem więcej, że nie są to żadne zmyślenia, czerpane w wyobraźni pisarza, ale fakta rzeczywiste, autentyczne, że działacze w tych faktach istnieją i mogą zaświadczyć prawdę opowiadania.

Oto treść opowiadania p. Lemoinne:

Od niejakiego czasu widać jakieś cudowne poruszenia, dążące do zjednoczenia rozprószonych ułomków rodu ludzkiego. Ostatnie krańce starego świata, Chiny i Japonia, zostały uderzone na raz z dwóch stron, przez Europę i Amerykę.

Ale rzuciwszy okiem na glob ziemski, widziemy, jak ogromne okolenia musieli robić żeglarze, żeby, wyjechawszy z Europy lub z północnej Ameryki, dopłynąć do Indyj. To też od wieków szukali prościejszej drogi, istniejącej koniecznie na krańcach Ameryki północnej, wpośród lodów wiecznych, pod biegunem północnym. Tę to drogę nazywano dotąd przejściem północnem, które miało połączyć cieśninę Dawisa, na oceanie Atlantyckim, z cieśniną Berynga na oceanie Wielkim.

Gdyby przejście to było możliwem, a do tego praktycznem, możnaby było płynąć prawie w prostej linii z Anglii do Japonii.

Tego to przejścia szukali żeglarze angielscy już od trzech wieków, od czasów Henryka VIII, a jak mówią kroniki, od 8 nawet wieku. Najsławniejsze imiona w historyi i żeglugi: Humphrey, Gilbert, Roos, Parry, Franklin wiążą się z tem świetnem i niebezpiecznem poszukiwaniem.

Wreszcie rozbiegła się po świecie wieść, że przejście na północy zostało odkryte. Wiadomość tę przywiózł do Anglii porucznik marynarki królewskiej, który sam przebył tę drogę przez morze lodowate, i on to pierwszy przywiózł depesze swojego dowódzcy przez cieśninę Dawisa, wypłynąwszy z cieśniny Berynga.

W roku 1819, kapitan Parry, dzisiejszy admirał, przebył cieśninę Lancastre i posunął się o 900 mil (angielskich) dalej w pośrodek lodów, niż wszyscy jego pośrednicy; tym sposobem należy mu się chwała, że pierwszy przebył połowę przejścia na północy. W roku 1845 John Franklin puścił się na poszukiwane przejścia na północy, ale nie wrócił więcej; ośm lat prawie upływa i ani słychu o nim. Zaczęto na nowo szukać przejścia i samego Franklina. Wysłano nową wyprawę w 1850 roku, w tym podwójnym celu. Wyprawa ta opłynąwszy przylądek Horn, dobiła do wysp Sandwichskich, i wypłynęła do cieśniny Berynga.

Dwa okręta należały do niej: *L' Entreprise i L' Investigateur;* ten ostatni tylko dopłynął do zamierzonego celu, wioząc na sobie kapitana Mac-Clure jako dowódzcę wyprawy i prawdziwego bohatera. Za tem to okrętem pójdziemy w ślad, w jego awanturniczej podróży.

Aż do 8. sierpnia podróż ta nie przedstawia nic zajmującego. W tem dniu dowódzca wysłał kilku ze swoich ludzi na ląd, a ci napotkali tam trzech krajowców, którzy z razu bardzo się wylękli, ale skoro im na znak przyjaźni podniesiono trzy razy rękę nad głowę, przybliżyli się do łódki i swoim zwyczajem, pocierając nos c nosy przybyszów, wyrazili im swoje uczucia przyjaźni. Powierzchowność ich i ubior, niebardzo były ponętne, ale zawsze jest to nie mała pociecha, spotkać wśród lodowatych pustyń twarz ludzką, którą ten sam Bóg stworzył.

Tutaj zjawia się na scenie bardzo ważna osoba, brat morawczyk, należący do missyi w Labrador i zarazem tłumacz p. Mier-

tsching, który wiózł ewangelię i biblią aż na koniec świata. Wszedł on w rozmowę z krajowcami, a ci wyznali mu, że wczoraj jeszcze postrzegli okręt, ale nie mogąc wytłumaczyć sobie, jakim sposobem wielkie drzewa (maszty), mogły posuwać się, nazywali okręt wyspą pływającą. Później nieco, wiele z tego pokolenia zwiedzało okręt. Skór tylko można było od nich dostać.

P. Miertsching wytłumaczył im, że biali ludzie szukają zagubionych braci, i prosił ich, że gdyby ich spotkali, żeby się z niemi po ludzku obeszli.

Pozdrowiwszy krajowców, *L'Investigateur* popłynął dalej i 11. sierpnia przybył do wyspy Jones, gdzie zastał także koło 300 krajowców. Okręt Europejski wprawił ich w zadziwienie, a żagle przezwali wielkiemi chustkami. Dzięki znakom telegraficznym ramienia, dzicy nabrali ducha i puścili się swobodnie na pocieranie nosów, które tym razem były czyste, jak pisze Mac-Clure, i operacya była dosyć znośną.

Dowiedziano się od nich przez tłumacza, że pierwszy raz widzą białych. Kapitan darował im jeden żagiel; wielkość takiego daru zdumiła dzikich, nie śmieli się go zrazu dotknąć, ale im tłumacz dodał odwagi, unieśli go w pośród żywych oznak do swych siedzib.

W kilka dni potem kapitan odpłynął, i o kilkanaście mil natrafił na inne pokolenie, mniej przyjazne. Miało ono łuki i noże, a podniesienie ramienia żadnego skutku nie wywierało.

Tłumacz chwycił się podstępu; przebrał się w suknie Eskimów, i jako wielki wódz porozumiał się z dzikiemi. Nie słyszeli, ani nie widzieli nigdy żadnej białej twarzy. Dotąd temperatura była dosyć łagodna; termometr nie pokazywał nigdy niżej nad 32 (100 st.), bo też dotąd Mac-Clure znajdował się w okolicach odznaczonych już na mapach przez jego poprzedników, a które on nazwał ziemią wielkich Eskimów.

Przy przylądku Bathurst, Mac-Clure, doktór i tłumacz wyszli nad brzeg lądu, i wnet napotkali około 300 Indyan, uzbrojonych w łuki i noże. Zdawało się że to jaka scena z romansów Coopera. Wkrótce jednak porozumiano się, kobiety i mężczyźni owego pokolenia indyjskiego obtoczyli Europejczyków i przypatrywali się im ciekawie. Ciekawość ta przemieniła się wnet w pewien rodzaj nacisku, tak, że Europejczykowie zmuszeni byli cofnąć się do swoich łodzi. Ale Indyanie mieli buty nieprzemakające i śmiało ruszyli w wodę. Kobiety nadewszystko, łagodnie traktowane napadły ze wszystkich stron na czółno i rozdrapały wszystko co napadły. Jedna z nich porwała bussolę; z trudnością ją odebrano. Nazajutrz wdarli się na okręt, ale byli już grzeczniejszemi.

Z niemem zadziwieniem przypatrywali się okrętowi; największe wrażenie robiły na nich źwierciadła i różne malowidła. Kobiety puściły się w taniec z majtkami i na żaden sposób nie chciały opuścić okrętu.

Z tego miejsca ruszył *L'Investigateur* w nieznane krainy lodów, dotąd na karcie geograficznej nieoznaczone. Trzymając się kierunku północnego, miał nadzieję, że natrafi na ziemię Banks, odkrytą jeszcze w 1819 roku przez Edwarda Parry. Z wielkiem zadziwieniem wpadł na inny jakiś ląd, zajął go w posiedanie w imieniu królowej W. Brytanii i nazwał go ziemią Barringa, od imienia pierwszego lorda admiralicyi. Ztąd wrócił się Mac-Clure ku wschodowi i odkrył znowu nową ziemię, którą nazwał książę Albert.

Oczywiście widać, że okręt znajdował się w jakimś kanale między dwoma ziemiami, nazwał go też kapitan cieśniną księcia Wallis. Tu jest początek przejścia północnego, bo wnet odkryto, że kanał ten łączy się z cieśniną Barrów, następnie z kanałem Loneastre, potem z odnogą Baffińską, z cieśniną Davis, a w końcu z naszym oceanem. Ale był to już miesiąc październik; lody nieruchome prawie zaparły to wązkie przejście. Ogromne bryły lodów odrywając się od mass stałych, parte silnemi wiatrami, szły prosto na okręt, jakby mur pływający i odpychały go w tył, strasznie nim wstrząsając. Naprożno chciał walczyć z takim nieprzyjacielem kapitan: rozsądek wskazywał żeby cofnąć się na południe, ale żal mu było po takiem niebespiecznem zdobyciu opuszczać to stanowisko. Postanowił tedy zimować w samym środku swego zwycięztwa; przybija więc do massy lodów, przywiązuje się do nich łańcuchami i hakami i pływa razem z niemi. Zniesiono żywności na pokład na jeden rok, rozdano majtkom futra i bóty.

Dziewięć miesięcy stał tutaj okręt nieruchomy, jakby w więzieniu lodowatem. Wpłynął tam w październiku w 1850 r., a nie wypłynie aż w lipcu 1851 r. Nie można dosyć nadziwić się owej spokojnej nieustraszoności z jaką załoga okrętu wstąpiła żywa w ten grób, i zamknęła za sobą kamień aż na trzy lata, bo po tej zimie znajdziemy go znowu w innych okolicach, zamkniętego na dwa lata w tych lodowych skałach. Spokojny o okręt, kapitan z porucznikiem Cresswell, doktorem Armstrong, z chirurgiem i tłómaczem wyszli na ziemię księcia Alberta. Zapuścili się głęboko wewnątrz tej ziemi, ale wszędzie lody i lody. Nie zraża to jednak Mac-Clura, potrzeba mu było koniecznie znaleść wyjście z tego kanału, który go miał zaprowadzić do cieśniny Barrow. Chociaż sanki na których jechał psuły się ciągle, dotarł wreszcie 26. paźd. r. 1853 do brzegu pożądanej cieśniny i odkrył przejście. — Z miłą i ujmującą prostotą opowiada Mac-Clure w liście do swej siostry pisanym, szczegóły tego odkrycia, a cały ten list zapełniony jest rzewliwemi, biblijnemi uczuciami, właściwemi Anglikom. (C. d. n.)

Dentysta paryski na polach Elizejskich.— Oto jedzie w otwartym, eleganckim wózku po pajacowsku przebrany dentysta: przy nim z jednej strony chłopiec bijący w bęben, z drugiej murzyn zaopatrzony w pistolet. Publiczność spostrzegłszy nadjeżdżającą arkę i usłyszawszy znaczący głos bębna, gromadzi się tłumnie i otacza wiankiem chirurga. Po chwili i gdy już publiczności dosyć, ucicha bęben, a nasz artysta zrobiwszy zręczny wstęp od Adama i Ewy, od postępu jaki medycyna i chirurgia w ogóle a wyrywanie zębów w szczególności aż do dni naszych zrobiły, wystawia z prawdziwie przerażającą wprawą języka i w kwiecistym stylu ważność swej sztuki, a nakoniec przechodząc do sensu moralnego, obiecuje wyrywać zęby każdemu, ktoby z zgromadzonych panów i pań zechciał, bez bólu i za kilka sous. Jakkolwiek to już stary bardzo figiel i jakkolwiekby się każdy na nim znać powinien, nie obejdzie się jednakże ani razu bez tego, aby jaki pacyent zębowy nie oddał się w ręce samochwalczego artysty. Zaledwie kilka sekund minęło, a pacyent pozbył się już obok chorego i kilku zdrowych zębów na handel. Sprawiony tak biedak krzyczy w niebogłosy, ale ponieważ rwanie zębów miało się obejść bez bólu, pali zaraz murzyn ze swego pistoletu i bije chłopiec w bęben dla przytłumienia jęków nieszczęśliwej ofiary, a dentysta zaręcza zaraz potem z najpewniejszą w świecie miną, odwołując się na świadectwo uciekającego i wystraszonego delikwenta, że jego operacya odbyła się rzeczywiście bez cierpień i bolu!

Hr. Henryk Rzewuski pisze w swym dzienniku: Nasz ziomek JW. **Tęgoborski**, radca tajny i członek rady państwa Cesarsko-rossyjskiego, wydał świeżo dzieło, pod tytułem: *Etudes sur les forces productives de la Russie.* Już poprzedniczo wydał był dwa dzieła, które zwróciły uwagę najznakomitszych statystów Europy, a temi są: *Sur les finances et le credit public de l'Autriche*, i *sur l'instruction publique en Autriche.* Miło nam widzieć rodaka który już tak wysokie zajął stanowisko, w nauce tyle ważnej jaką jest ekonomia polityczna, i tak ściśle związanej z nauką administracyi narodów. Imię Tęgoborskiego nie jest dla nas nowe. Ojciec jego był szefem gabinetu ś. p. Stanisława Augusta i redakcyą swoją był pozyskał sławę europejską, tak dalece, że cesarz Napoleon tworząc księstwo

Warszawskie powołał go na ministra sekretarza stanu. Z powodu zwątlonego zdrowia uchylił się od przyjęcia tego urzędu, który się dostał JW. Brzezie. W ostatniem piśmie swojem, które ośmielam się polecić publiczności, z najskrupulatniejszą sumiennością, zawsze opierając się na źródłach autentycznych, daje nam dokładnie poznać wszystkie środki finansowe i handlowe państwa, którego jesteśmy częścią. Czas ażeby między nami rozpowszechniła się wiadomość rzeczy tak blisko nas dotykających. To dzieło wypracowane, a należycie ocenione za granicą, wielkie pożytki przynieść może nawet naszym gospodarzom, w nim albowiem można niemało powziąść światła o rolnictwie, pszczelnictwie, cukrownictwie, wychowaniu bydła, ekonomii leśnej i innych gałęziach naszego ziemiaństwa.

Z Wiednia piszą do Gaz. Codz: Dowiedziawszy się iż w pracowni p. Fernkorn, nadwornego rzeźbiarza, studiują kolosalną statuę arcyksięcia Karola pobiegłem tam, i zastałem tem ważnem dziełem zajętego naszego rodaka, krakowianina **Faustyna Cenglera.** Młodzieniec ten z całem zamiłowaniem do sztuki, z wrzącą poezyą w duszy, z dłutem w ręku, zajmujący przedstawiał widok. Jego ujmujące obejście, jego nadzwyczajna skromność, obok wielkiego talentu, stanowi rzadki teraz kontrast. Pokazywał mi prace swego dłuta, a niektóre z nich były na wystawie tegorocznej w gmachu instytutu politechnicznego, a o których z ust samych artystów bardzo pochlebne słyszałem zdanie. Pokazywał mi swoje oryginalne dzieło: Madonna, z dzieciątkiem Jezus na ręku, błogosławiącem również małe dziecię, św. Jana, wybierającego się na puszczę. Niebiańska, dziewicza skromność i miłość ku swemu synowi matki Zbawiciela, wybijająca w tej grupie wielkie na mnie sprawiła wrażenie. Otrzymałem od artysty fotografię tej jego wielkiej wartości pracy. Oprócz tego pokazał mi własną kompozycyą uosobnionej wiary, nadziei i miłości. Oświadczył, iż niezadługo zajmie się wykończeniem tego pięknego dzieła. Widziałem także u niego model biustu p. Schwarz, ambasadora amerykańskiego przy dworze tutejszym, który mu nasz artysta w uroczystość imienia dedykował. Z tego co słyszałem i widziałem, mogę śmiało powiedzieć, iż Faustyn Cengler będzie kiedyś gwiazdą pierwszego rzędu, błyszczącą na horyzoncie artystycznym, i chlubą naszego kraju! J.....;

Z rokiem b. wyszedł pierwszy z kolei CLVII zeszyt **Biblioteki Warszawskiej** za miesiąc Styczeń, i zawiera: Smętarz Powązkowski pod Warszawą, przez K. W. Wojcickiego. Nowy zwrot literatury francuskiej, przez Jaroszę. Biszen i Menisze, ustęp z Firdusego: Szach Nameh, przełożony przez L. Siemieńskiego (ciąg dalszy). Pamiętniki lekarza Polaka, z doświadczeń za granicą zebranych, spisane przez niego samego. Kronika z Paryża literacka, naukowa i artystyczna; Pukające duchy; ocalmy ludzkość, przez Pana Hennequin; otwarcie włoskiej opery; Wiadomości literackie; Święto nauk, Kronika Literacka, Rozmaitości. Kronika bibliograficzna. Doniesienia literackie. Dostrzeżenia metrologiczne za miesiąc listopad r. z.

Obraz Corregia. — W Moskwie u pana Łobkowa, miłośnika sztuk pięnych, odkryto obraz pęzla nieśmiertelnego Corregia. Józef oblubieniec Marji, pochylony wiekiem starzec święty, trzyma na ręku dzieciątko, które z lubością uśmiecha się, wyciągając ku niemu drobne swe rączki. W twarzy Józefa oddane to Boskie zachwycenie, z jakiem on patrzył na radość Izraela, i nawrócenie się niewiernych, cień ją okrywa zewsząd i tylko wierzchołek głowy jaśnieje od promieni ukośnie spadających, a twarz dziecięcia cała oblana światłem. Akcja ma miejsce w stajence w żłobie. Pan Łobkow dla przekonania się, przedstawiał to malowidło cesarskiej akademii sztuk pięknych; otóż członkowie rady tego wysokiego zakładu, po dokładnem rozpatrzeniu, uznali je zgodnie za oryginał Corregia.

Wincenty Pol którego umieściliśmy piękny wierz: Reguły staropolskie, krążący jak po większej części wszystkie Poezye tego poety od kilku lat w mnogich odpisach po całym kraju, nadesłał przyjaciołom swym do Lwowa odpis dwóch poematów w przeszłym napisanych roku: Sejmik w Sądowej Wiszni i Mohort. Osobliwie ten ostatni utwór ceniony jest bardzo wysoce, wyżej nierównie, niż dawniejsze utwory tego ulubionego poety.

Stanisław Pilat napisał świeżo dramat w czterech aktach pod napisem: *Zofia Morsztynówna*, który wkrótce na benefis pana Nowakowskiego przedstawiony będzie. Z upodobaniem czytaliśmy ten dramat. Jest w nim wiele życia, a jeszcze więcej artyzmu w budowie.

Pani Aszpergerowa dla słabości jutro jeszcze nie wystąpi. Z tego powodu powtórzony będzie dramat: *Chata wuja Tomasza.*

Znaczenie szarady poprzedniej: **Granity.**

Szarada.

Pierwsza przystaje, druga z trzecią poufała;
Wszystko się wojną bawi i głównie w niej działa.

Przyjechali dnia 16. 17. i 18. do Lwowa:

PP. Tarnawiecki Józef pleban, z Maryampolu. Bobowski Leon wł. dóbr, z Cykowa. Komorowski Ignacy Aleksander hr. i wł. dóbr, z Chorobrowa. Rylski Eustachy wł. dóbr, z Ostrowa.

PP. Barbaszewski Ignacy mand. z Poturzyc. Białoskórski Felicyan wł. dóbr, z Czajkowic. Czerwiński Jan wł. dóbr, ze Złoczowa. Eminowicz Kajetan wł. dóbr, ze Smereki. Glixelli Teodor wł. dóbr, z Glinian. Kopczyński Ignacy wł. dóbr, z Krakowa. Masłowski Marceli dzw. dóbr, z Dąbrowicy. Michalewski Antoni wł. dóbr, z Brzeżan. Nesterowicz Piotr aptekarz, z Buska. Nowakowski Jakób pleban, z Kamionki strumiłowej. Rosnowski Franciszek wł. dóbr, z Tartakowa. Rudnicki Teodor wł. dóbr, ze Strzałek. Smarzewski Nikodem wł. dóbr, z Artasowa. Stadnicki Aleksander hr. z Krakowa. Wiktor Walenty dzw. dóbr, z Kulikowa. Wiktor Tadeusz wł. dóbr, z Kulikowa. Wisłocki Marceli justic., z Kopyczyniec. Younga Adam wł. dóbr, z Przemyśla. Zakrzewski Jan rz., z Brzeżan.

Burdziński Henryk ks. dom. z Żółkwi.

Wyjechali dnia 16. i 17. stycznia ze Lwowa:

PP. Dzieduszycki Kazimierz hr. i wł. dóbr, do Niesłuchowa. Krzeczunowicz Ignacy wł. dóbr, do Jaryczowa. Linzbauer Eduard radzca szkolny do Bzzeżan. Młocki Alfons mies. do Łopatyna. Obertyński Leopold wł. dóbr, do Stronibab. Pohorecki Kajetan dz. dóbr, do Horpin. Stefanowicz Stanisław gr.-kat. pleban, do Kamionki strumiłowej. Strzelecki Krzystof wł. dóbr, do Płuhowa. Tyszkiewicz Paulina hr. do Krakowa.

PP. Bocheński Józef i Wiktoryn wł. dóbr, do Głemboczka. Felsztyński Ludwik justyc., do Biały. Gross Piotr wł. dóbr, do Koniuszek. Korytowski Erazm wł. dóbr, do Ditkowic. Lipiński Antoni dzw. dóbr, do Złoczowa. Starzeński Leopold hr. do Ditkowiec. Turczyński Jan wł. dóbr, do Żółkwi.

Kurs lwowski.

Dnia 18. Stycznia.		gotówką				towarem.			
Dukat holenderski . . . . ,	zł r.	5	kr.	37	zł r.	5	kr.	41.
Dukat cesarski	»	5	»	42	»	5	»	46.
Półimperyał zł. rosyjski . . . . . . -	»	9	»	53	»	9	»	57.
Rubel srebrny rosyjski	»	1	»	55	»	1	»	56.
Talar pruski	»	1	»	45	»	1	»	47.
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	»	26	»	1	»	27.
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł r. . . .	»	90	»	15	»	90	»	25.

Kurs telegraficzny z Wiednia 18. stycznia o 2 g. popołudniu.

Amszterdam. — Augsburg $123\frac{5}{8}$. Frankfurt 123. Hamburg $91\frac{5}{8}$. Liwurno $120\frac{1}{2}$. Medyolan 121. Genua. – Londyn 12. 3. Marsylia. — Paryż $144\frac{7}{8}$. Bukareszt. — Konstantynopol. — Agio duk. ces. — Srebra agio 23. Pożyczka 5% $91\frac{3}{4}$. $4\frac{1}{2}$ 81. Pożyczka lit. B. — — Akcye banku 1328. Kolej północna 2265.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**